Nr. 46. We Lwowie, dnia 17 listopada 1901. Rok 9.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Ze Złotego Domu nad Wełtawą.

Literatura pamiętnikowa posiada właściwy sobie a silny czar: pozwala zajrzeć w świat wewnętrzny ludzi niezwykłych, dostarcza dokumentów najcenniejszych do zbadania ich duszy, wysoko ponad poziom powszedniości wybiegającej. Taka też właśnie dusza głęboka, i czujna, — dusza myśliciela i artysty, wychyla się z kartek świeżo ogłoszonych pamiętników Fr. A. Szuberta*), byłego dyrektora teatru nad Wełtawą, twórcy narodowej sceny czeskiej.

Pierwszą tę część swoich wspomnień autor poświęca sławnym ludziom, głośnym artystom, z którymi wiązały go stosunki wówczas, gdy piastował godność dyrektora w „Złotym domu“ prazkim, jak Czesi nazywają z miłością i dumą swój teatr narodowy — swoje narodni divadlo! O sobie samym autor nie mówi tu wprawdzie nic, swoją osobę stale usuwa w cień. Kreśląc jednak plastyczne sylwetki kapłanów sztuki, wkłada w słowa swoje takie bogactwo uczuć i myśli, że czytelnik widzi i jego oblicze duchowe, niemniej wyraźne, może nawet wyraźniejsze od pięknych portretów Coquelina, Verdiego, Modrzejewskiej, Emmy Turolli, Goldmarka, Różiczki-Strozzi i wielu innych, które zdobią karty książki, z prawdziwym przepychem drukarskim wydanej.

I ten właśnie liryzm porywa czytelnika, każe mu przeżywać nastroje autora! Znać w tym sposobie traktowania tematu pisarza dramatycznego, — znać i kierownika sceny, co umie wyzyskać każdy efekt, aby szarpnąć do żywego nerwami widzów.

Co więcej: Pamiętniki p. Szuberta pozwalają — nawet zdaleka stojącym—zrozumieć wyjątkową rolę, którą teatr czeski odegrał w przełomowym okresie życia narodu. Zbożne pielgrzymki, przedsiębrane z najdalszych stron kraju i z poza jego granic do świątyni sztuki narodowej: — podniosłe sceny w widowni, — te setki ludzi nieznających się wzajemnie, którzy, porwani słowami mistrzów, lub muzyką swojską ze sceny, padają sobie w objęcia, ślubując we łzach miłość długo zapoznawanej ojczyźnie; — te upojenia, uroczystości, manifestacje, ofiary, — wszystko to naraz czyni się jasnem, łatwem do zrozumienia. Teatr mógł stać się szkołą uczuć patrjotycznych w szczytnem znaczeniu słowa, bo u steru jego stał człowiek pełen zapału i poświęcenia, sam twórca, sam autor dramatyczny, miłośnik piękna, ale kochający ponad wszystko piękną ojczyznę czeską, znawca wytrawny sztuki, ale i ludu wiejskiego, — ludu, co zbudził ze snu wieków zaklętą królewnę, — co wskrzesił ojczyznę!... Cóż więc dziwnego, że berło dyrektorskie zmieniać się mogło w takich rękach i w laskę czarnoksiężnika?... Wszak biło w niem serce!

I dziś pomimo usunięcia się z teatru, po siedmnastu latach pracy — od pierwszej chwili jego powstania do 1900 r. — p. Szubert nie przestaje działać dla sztuki, literatury i społeczeństwa. Czynna, energiczna, pełna inicjatywy jego natura nie zna wytchnienia. Dokona też z pewnością nie jednego jeszcze dzieła w takim wielkim stylu, jak wytworzenie trupy artystycznej, która miała prawo zająć w 1892 r. jedno z pierwszych miejsc na międzynarodowej wystawie muzycznej i dramatycznej w Wiedniu, — jak prazka wystawa etnograficzna, która trwała ku chwale Czech 6 miesięcy, a której głównym inicjatorem był p. Szubert, — lub słynne muzeum etnograficzne na Pietrzynie, jakim poszczycić się może w Europie jeden tylko Sztokholm, uwzględnia ono bowiem i otoczenie fizyczne, wśród którego rozwijało się życie ludu: daje wierny przegląd budowy geologicznej, a także fauny i flory ziemi czeskiej,

Nie — były dyrektor Divadla nie spoczywa na zasłużonych laurach! Benjaminkiem jego myśli, głównym celem zabiegów jest obecnie wzniesienie drugiego teatru w Pradze, dla dramatów wyłącznie. Tej pracy dla p r z y s z ł o ś c i poświęca siły i zapał. A wspomnienia z p r z e s z ł o ś c i to jeno wypoczynek, osłoda, pokrzepienie...

*) Moje wspominky — vypravuje Fr. A. Szubert. Praga. Druk i nakład czeskiego Towarzystwa graficznego „Unja“ 1902.

Autor kocha sławnych swoich gości, którzy przyśpieszali tętno życia w pałacu sztuki czeskiej. Ich tryumfy bywały przecież i jego tryumfem, — ich wawrzyny stroiły i jego czoło. A dla kompozytorów, co powierzali pierwsze przedstawienia głośnych sztuk scenie czeskiej, przez niego stworzonej, żywi wdzięczność pełną uwielbienia. To też radby był uwiecznić chwile, z niemi spędzone, — radby był przelać we wszystkie serca uczucia swoje dla tych postaci wyniosłych, blaskiem genjuszu opromienionych, co zaludniają w sposób cudowny jego samotność.

„Z ciszy, która nastąpiła po zgiełku uroczystości — mówi we wstępie do „Wspomnień“ z zamierzchu. co zgasił blaski i barwy, wynurzają się cienie i otaczają mój kominek...

„Jedne z nich maleją i nikną, — inne rosną, przybierają kształty olbrzymów, a pomykając ku mnie, stają się coraz wyraźniejsze i uśmiechem mię pozdrawiają.

„Cienie, postaci, wspomnienia!

„Witam was, witam! Takbym rad ścisnął wam dłoń, gdyby była materjalna, jak moja. Nie mogę tego uczynić. Ale mogę rozmawiać z wami szeptem cichym. Jak wy przemawiacie do mnie szmerem, szelestem, rozwiewnem echem — podobnie i ja odpowiadać wam będę i będę was gościł w duszy mojej, skoroście się wybrali znowu ku mnie po latach — zdaleka....

„Pójdźcież i pozostańcie przy mnie. Będę mówił z wami, a potem opowiem o was innym. Najpierw wytężę duszę, aby słyszeć do muzyki podobny szmer waszych opowieści z minionych dni, gdyście spieszyli ku mnie, lub gdym ja dążył przez góry i doliny do waszego kraju, na północ lub południe, ku palmom, co rozkwitają nad morzem w pocałunkach gorących słońca — lub ku sosnom i brzozom, których czoła zadumane mgła lekkim osłania zawojem. A potem ludziom powtórzę, co mi utkwiło w pamięci, — co w głąb duszy zapadło.

„Pójdźcież ku mnie, blizko, możliwie najbliżej, — gorącem tchnieniem owiejcie mi skroń i mówcie szmerem wspomnień, — jak żarem mię owiewa i szelestem płonącego ognia przemawia do mnie ten mój kominek miły...“

I drogie cienie — posłuszne wezwaniu — stają przed autorem - jedne po drugich, — a on nadaje im kształty i barwy rzeczywistości, ożywia iskrą, z nieba wykradzioną...

„Jasny brzeg“ — Riwjera — i chmurna carów stolica, Medjolan i Wiedeń, teatr della Scala i złoty dom nad Wełtawą — oto tło, ruchliwe i zmienne, na którem występują postaci ludzkie. Jedne z nich imponują wspaniałością, inne wabią wdziękiem, — tamte są pełne humoru, te znowu tragizmem owiane. Oko polskiego czytelnika zatrzymuje się jednak najdłużej na twarzy znanej sobie i blizkiej, a przedziwnie modelującej się w tem nowem oświetleniu... — Mam tu na myśli wspomnienia o Modrzejewskiej. Autor kreśli tę sylwetkę z właściwym sobie talentem i nie skąpi jej serdecznego ciepła. Gra Modrzejewskiej porywa go, jako artystę — i daje sposobność do wypowiedzenia od siebie oryginalnych zdań o sztuce scenicznej. To też pozwolę sobie powtórzyć w głównych zarysach ów szkic, cenny pod każdym względem, aby Czytelnicy „Tygodnia“ mogli poznać „Wspomnienia“ z pięknego fragmentu przynajmniej, nim ktoś bardziej powołany nie wzbogaci ich całością przekładowej naszej literatury.

D. n.

M. Wysłouchowa.

„Dziady“ w Krakowie.[1]

Światła gasną; cisza zalega widownię; podnosi się zasłona. Przez wrota wiejskiego cmentarza, wśród krzyżów pochylonych i mogił pożółkłym, przysypanych liściem, snuje się, dążąc ku kaplicy, kmieca gromada. Na „Dziady“ idzie. Guślarz ją prowadzi słowami:

„Mrok tajemnic nas otacza,
„Pieśń i wiara przewodniczy.
„Dalej z nami, kto rozpacza,
„Kto wspomina i kto życzy!

I przebiega salę dreszcz „nieznanego“, od sceny biegnący. Za trwożliwym szeptem gromady widz powtarza z niepokojem:

„Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
„Co to będzie, co to będzie?

Ukazanie się na cmentarzu Gustawa dech wszystkim w piersiach zapiera. Wszedł i każdy go poznał. Ma rysy tak niezatartym śladem w wyobraźni wszystkich wyryte, że zjawienie się jego z tem obliczem w dzień Zaduszny zdawało się przejmować dzisiejszych widzów lękiem dziwnego jakiegoś symbolu. Czem przyszedł na „Dziady“: duszą żywą, sercem bijącem, czy upiorem? Kim jest w dobie schorzałej erotyki ten Gustaw ze swoją idealną miłością dla czystej kobiety; kim jest w dobie rozszalałej anarchji indywidualizmu ten Konrad?

Wśród mogił cmentarnych widzieliśmy go żywym; później między żywymi staje jako umarły za pustelnika podaje się w plebanji; postacią upiora straszy u księdza dzieci, a zatopiwszy w piersiach sztylet, z zimnym mówi uśmiechem:

„ . . . . . , . Tylko dla nauki
„Scenę boleści powtórzył zbrodzień.

A potem *Gustavus obiit... natus est Conradus...* Narodzi się Konrad. Ale co robi dziś na „Dziadach“? Czy może idzie za radą Młodzieńca, który mówi do Starca:

[1]) Szkic niniejszy znakomitego krytyka warszawskiego powtarzamy za „Kurjer. Warszaw.“

„Szukaj umarłych pośród nas żywych“, i kto wogóle na „zaduszkach“ poezji polskiej jest żywym, kto umarłym?

Te pytania, krążące po scenie bardziej nieuchwytnie aniżeli duchy i widziadła w cmentarnej kaplicy, silniej może od wszelkiego dekoracyjnego przyboru przyczyniają się do „nastroju“ i nic też dziwnego, że -wytworzenie takiego nastroju nęciło autora „Wesela“, który, pokusiwszy się o stworzenie „tragedji niemocy“ zdawał się przystępować do inscenizacji „Dziadów“ ze słowami Guślarza:

„Czas przypomnieć ojców dzieje.“

Przy tej inscenizacji uśmiechało się zapewne Wyspiańskiemu to właśnie, co poematowi fragmentaryczny nadaje charakter: nieustalone linje budowy i uniesiona do grobu przez twórcę „Dziadów“ tajemnica proporcji i harmonji między odłamami dzieła. Malarz widział w tych fragmentach „nastrojowe“ obrazy; poetę pociągał stosunek świata zmysłowego do sfer nadziemskich; myśliciel, tkwiący duchem w teraźniejszości, szukał w niej nietyle może „umarłych pośród żywych“, ile raczej żywych między umarłymi. Nic go nie kłopotał Gustaw z ciała i krwi, zmieniający się w widmo, aby następnie ukazać się w postaci upiora, a wreszcie, przywrócony do życia, umrzeć i z martwych powstać w Konradzie. Życie i śmierć, zamieranie i odradzanie się w myślach i uczuciach, historja duszy, z poza świata unoszącej się ponad światy — wszystko to przedstawiało się inscenizatorowi w symbolach realnych, dotykalnych, wcielanych z pewną lubością w kształty bardzo plastyczne.

Niekiedy zbyt plastyczne — wtedy zwłaszcza, gdy Wyspiański zapominał, że nie jest na „Weselu“.

Wiemy wszyscy jak w tej jego halucynacji na zimno, widma tęgo i zdrowo wyglądają, jak bez ceremonji wdzierają się do krainy żywych i gospodarzą tam niby u siebie — wiemy i poddajemy się temu z rezygnacją. To świat Wyspiańskiego, on tam rządzi, on dyktuje prawa żywym i umarłym.

Ale inaczej dzieje się w świecie Mickiewicza — gdzie Mickiewiczowi tylko wolno rządzić, gdzie widzenie jest widzeniem nie aktualnością, a widmowe kontury rozpływają się w lekkich mgłach romantyzmu. Tam wizja zmaterjalizowana w sposób, w jaki Wyspiański przedstawił scenę z „dziedzicem“ w kaplicy, wygląda albo jak niewczesny publicystyczny motyw, albo jak anachronizm artystyczny.

Najsmutniejszy to w „Dziadach“ moment – to zjawienie się widma „pana“, szarpanego przez widma chłopów, krążących nad nim w postaci ptaków nocnych – i na najdalszy też plan„ „za okno“ kaplicy, odsunął je Mickiewicz, pragnąc utrzymać „widzenie“ w linjach i barwach najbardziej rozwiewnych. Jest więc grzechem przeciwko widocznym intencjom poety owe wciągnięcie „dziedzica“ do samej kaplicy, na front sceny i realistyczne dramatyzowanie obrazu, w którym „puhacze i kruki“ w siermięgach szamocą się z uzmysłowionym brutalnie upiorem.

Jaskrawość tego pomysłu tem przykrzej bije w oczy, że je poprzedziła prawdziwie poetycka inwencja w sposobie wprowadzenia dziecięcych widziadeł. Para aniołków ukazuje się, jak chciał poeta „pod wierzchołkiem cerkwi“ (zamienionej trochę dowolnie w ostrołukową, gotycką kaplicę), ale ukazuje się na szczycie wysokiego, barokowego ołtarza, który pod samo prawie sięga sklepienie. Nic wdzięczniejszego nad te „główki w promieniu“, nad te „motylków skrzydełka“, nad te sylwetki renesansowych „putti“, skojarzone z linjami ołtarza, niby harmonijny motyw architektoniczny. Poetę uplastyczniał tu artysta.

Losy Konrada same za siebie przemawiają ze sceny; nie wyrzekł się jednak inscenizator swojego w nich udziału, który się wyraża w oryginalnem pojęciu duchów dobrych i złych, walczących z sobą o duszę więźnia. Wyobraził ich Wyspiański zakutych w zbroje: o lśniącej łusce na duchu z prawej strony i czarnej na duchu z lewej. Potężne skrzydła, jaśniejsze u anioła, ciemniejsze u szatana, nie dodają bynajmniej lotności solidnym kształtom duchów światła i ciemności, przypominających trochę realistycznych aniołów Matejki, unoszących się ciężko nad scenami historycznemi. Duchowi z prawej strony chciałoby się dać w rękę włócznię a pod stopy smoka; duch z lewej próbuje imponować miltonowską jakąś fizjognomią, a tymczasem Mickiewicz widział w nich prawdopodobnie anioła w białej szacie o niewieściem obliczu i groteskowego trochę djabła o wykrzywionych złością rysach — obu w naiwnych formach wierzeń ludowych. I chyba dlatego dał im Wyspiański tak grubą plastykę, żeby tem potężniej wzbił się ponad nią w improwizacji duch Konrada, z wątłego wyrywającego się ciała.

Szkoda tej improwizacji, szkoda usuniętych z niej fragmentów, zwłaszcza, że, jeżeli chodziło o konieczne skrócenia, domagają się ich raczej sceny w plebanji, przepełnione liryzmem pięknym w czytaniu, lecz dłużącym się na deskach teatralnych; szkoda zresztą wszystkiego, co wypadło poświęcić, chcąc ująć celniejsze piękności poematu w ramy jednego wieczora, ale z tem, co jest, ten wieczór zostawia widzowi niezapomniane wrażenia.

I dostarczenie tych wrażeń jest wielką zasługą teatru krakowskiego, na którego scenie „Dziady“ jako zamknięta w sobie całość, pierwszy raz stanęły przed publicznością w blaskach arcydzieła.

W. Bogusławski.

MNEMOS.

Bajka.

I

Mnemos był tak bogaty w wiedzę, że umiał na pamięć, po kolei i na wyrywki to, co każdy mędrzec, umarły lub żyjący, o każdej rzeczy powiedział; był tak bogaty w mienie, że na jego ziemi rozkładały się miasta, osady i wioski, przerzynały ją rzeki, świeciły na niej jeziora, wznosiły się góry; przez trzy dni i trzy noce mógł jeździć lub płynąć przed siebie wzdłuż i wszerz i mówić o tem wszystkiem, co widział na widnokręgu:

— To moje!

Nic więc dziwnego, że Mnemos uważał się za najbogatszego i najmędrszego człowieka na ziemi; tak samo myśleli inni. Mnemos uczył się nieustannie; nie obchodziły go pory dnia ani roku; jego przyjaciele mówili mu:

— Umiesz już sto razy tyle, ile umiał każdy z tych mędrców, których dzieła ciągle masz przed sobą: odpocznijże, Mnemosie, bo już zmizerniałeś i wychudłeś straszliwie!

Ale Mnemos głową tylko potrząsał i czytał dalej, bo paliła go nieustannie żądza poznania wszystkiego, co ktokolwiek przed nim poznał i do wiadomości innych podał.

Mnemos codziennie używał samotnej przechadzki, podczas której powtarzał sobie wszystko, co wciągu ostatniej doby przeczytał.

Pewnego dnia letniego, gdy już słońce wysłało ziemi pożegnalne smugi purpury, szedł Mnemos łąką. Rosło na niej wiele kwiatów barwnych i wonnych, lecz on ich nie widział, bo przed jego oczami stały wciąż proste rzędy czarnych liter, z których czerpał swoją wiedzę.

W tem przy kącie olszyny, rosnącej nad strumykiem, dojrzał jakąś postać kobiecą, jaśniejącą takim blaskiem, że przystanął, mrużąc oczy i zapomniał o całej swojej wiedzy. Jeszcze mu się to nigdy nie zdarzyło, ale nie miał czasu zastanawiać się nad tem nowem zupełnie wrażeniem, gdyż owładnęło nim pytanie: Kto to być może?

Mrużąc wciąż oczy, ruszył w stronę olszyny. Po dobrej chwili dopiero mógł dojrzeć, że świetlana postać porusza od niechcenia ręką i, że za każdem poruszeniem silniejsza światłość go oblewa, idzie po świecie całym aż o niebo się opiera i wobec słońca nie gaśnie; przyśpieszył znów kroku, wpatrując się w promienną postać, ale oczu, pomimo chęci, otworzyć nie mógł i po raz pierwszy Mnemos, najbogatszy i najuczeńszy z ludzi poznał walkę, ten codzienny chleb ludzkości, o którym jednak dobrze z książek wiedział.

Aż sykał z bólu i z niecierpliwości, lecz szedł dalej, pociągnięty taką siłą, że nic w świecie zwróciłby go z drogi nie zdołało; zaledwie dziesięć kroków dzieliło go od niewiasty, gdy przystanął znowu, uderzony jej pięknością, przewyższającą wszystko, co w tym kierunku mogłaby wymarzyć najbogatsza fantazja. Zapomniał o bólu i zaczął wołać głosem wielkim, w którym brzmiały zachwyt i niepokój.

— Kim jesteś, niewysłowienie cudna!

Ona milczała, więc Mnemos mówił dalej:

— Jestem Mnemosem, wszak słyszałaś o mnie, jestem tak mądry, że wszystko jeśli nie w całości, to w części przynajmniej poznałem i oddawna nic mnie już nie dziwi, — jednak takiej jak ty, nikt w śnie czarodziejskim nawet nie zoczył. Kim jesteś? Skąd przybywasz?

Ona, obojętnie w dal patrząc, odparła.

— Jestem wszędzie!

— Jesteś wszędzie, a ja widziałbym cię po raz pierwszy? to być nie może!

— Wielu już powiedziało mi to samo.

— Jakto? Nie ja pierwszy cię widzę?

— *Widzą*, mnie prawie wszyscy, ale nie *wiedzą*, kiedy im się to zdarza.

— Więc jakże się zowiesz?

— Jestem tą, o której wszyscy mówią, w której ślad wszyscy iść muszą i której wszyscy bluźnią, choć także nie wiedzą, kiedy to czynią.

Zdumiał się Mnemos, a po chwili zawołał:

— Byłażbyś Mądrością?

— Mądrość jest sługą moją.

— A ja jej czcicielem; jakimże marnym prochem jestem wobec Ciebie, Promienna, pomimo bogactwa mego i wiedzy mojej.

— Alboż ty masz co swojego? — spytała.

Słysząc to pytanie, Mnemos osłupiał.

Wreszcie myśląc, że pewno zły sen go opętał, zaczął oglądać się na wszystkie strony:

Stoję przecież na łące — mówił w duchu — przede mną leży droga, wiodąca do miasta, tam stoi mój pałac, a tuż pod olszyną ten cud...

— Nie śnisz wcale Mnemosie, odezwała się nieznajoma, która widocznie myśli ludzkie czytać umiała, na jawie słyszysz, że nie masz nic.

— Słyszę największy fałsz, jaki kiedykolwiek rozbrzmiał w powietrzu, odparł, pomimo olśnienia, oburzony.

— Więc cóż masz swojego?

— Mam moją wiedzę!

— Alboż ona twoja? Czy wynalazłeś, odkryłeś, wymyśliłeś to wszystko, co ci pamięć zapełnia? Bez ciebie to wszystko istniałoby o jotę nie zmniejszone. Czy przetworzyłeś, rozpowszechniłeś, rozwinąłeś choć drobinę z tego, co inni dali ludzkości? Cóż ty jej dałeś? Wiesz, co inni mówią, choćby o tej wodzie, która tu płynie, lecz co sam z siebie mógłbyś o niej powiedzieć, tego nie wiesz, A to tylko byłoby twoje.

— A moje mienie — zapytał stropiony Mnemos.

— Czy ty stworzyłeś tą ziemię, którą nazywasz swoją? W jakiż sposób nad nią pracujesz? Milczał.

— Więc może istnieją ludzie, może istnieje choć jeden człowiek, o którym mógłbyś powiedzieć: przeze mnie ten człowiek jest zdrowy, silny, szczęśliwy?

Srodze zafrasował się Mnemos, bo daremnie szukał w swej pamięci takiego człowieka; zatopiony w księgach, nie miał nigdy czasu pomyśleć, jak dzieje się ludziom, żyjącym koło niego.

— Ludzkość wie już dawno, że szczęścia nie ma na ziemi — odparł wreszcio. Cnoty i wady ludzie z sobą na świat przynoszą.

— Czy sam przekonałeś się o tem?

— Inni już mnie tu wyręczyli.

— Dlatego to widzisz mnie po raz pierwszy, choć na każdem miejscu spotkać się ze mną możesz. Mnemosie, korzystający z tylu darów przyrody, z tylu rąk i głów ludzkich, cóż masz swojego, czem mógłbyś rozporządzać?

Zamyślił się a po chwili rzekł:

— Mam chęć zbadania całej wiedzy, by wycisnąć z niej ziarno prawdy.

Uśmiechnęła się, a serce Mnemosa zakwitło nieznaną mu dotąd radością.

— Jest to jedyna twoja własność, Mnemosie, chociażby na wieki chęcią pozostała.

— Jakże jesteś surową. Promienna! Jakież skarby nieopisane posiadać musisz sama, skoro tak lekceważące wydajesz sądy o mnie.

Uśmiechnęła się powtórnie, a Mnemos uczuł, że jeden promyczek świetlanej postaci wniknął w jego serce, by tam na zawsze pozostać.

— Wszystko, co trwa, ze mnie bierze początek – odparła.

Wtedy zrozumiał Mnemos, przed kim stoi i padł na kolana, mówiąc, drżącym głosem.

— A! Ty jesteś Prawdą! Prawdą, której dotąd szukałem; największą potęgą, której żaden człowiek nic dać nie może. O! nie opuszczaj mnie!

— Jakże opuścić cię mogę, skoro jestem wszędzie? W każdym człowieku spoczywa mój promyk, w każdym zasnuwa go pajęczyną złudzeń, wielu otacza go różnokolorowemi szkiełkami ulubionych im fałszów, by świecił drogiemi im barwami, w niektórych tylko Miłość i Piękno przerabiają mój promyk w słońce i gwiazdy ukojenia i szczęścia. Lecz kto chce mnie poznać, spojrzeć na mnie musi własnemi oczami.

Mnemos padł twarzą na ziemię, a gdy się wreszcie podniósł, przy olszynie nikogo już nie było, tylko jakiś głos przeczysty powtarzał mu słowa:

— Księgi są cmentarzem życia. Żyj własnem życiem, Mnemosie.

A. Morzkowska.

---

21) # O wpływie trunków alkoholicznych

na organizm zwierzęcy i ludzki.

W ogóle działalność trunków alkoholicznych, używanych czy to w dozach regularnych, umiarkowanych *), czy też nieumiarkowanych, jest zawsze fatalną w swych skutkach dla człowieka i dla zwierząt; wyraża się ona bowiem u ludzi w w przestępstwach, zbrodniach, w obłędzie bądź cał-

*) Co do samego umiarkowania w piciu, to jak już uprzednio wspominałem, mamy całą skalę wzorów najrozmaitszych, jeden z takich wzorów podał nam Bartels, pod tytułem: „Dzionek obywatelski“, jest to typ umiarkowanego picia na wsi. Wzory umiarkowanych alkoholików po miastach znamy tu wszyscy z własnego doświadczenia. Satyrę Bartels'a przytoczę, ażebyśmy uprzytomnili sobie postać alkoholika wiejskiego, z jaką się bardzo często spotykało na Litwie.

Dzionek obywatelski.

„Pietrek! która godzina?
— Po jedenastej Panie,
— Nakrojona wędlina
— Zastawione śniadanie.
„Co na dworze dziś rano?
— Deszczyk pada niewielki...
„Przepadło moje siano!
Dobądź z szafy butelki“.

„Pietrek! która godzina“?
— Kwadrans na pierwszą Panie,
„Jeść mi się chcieć zaczyna
Dalipan niesłychanie.
Co na dworze? pogoda?
— Deszczu ani kropelki.
„Niema deszczu, to szkoda!
Daj mi z tamtej butelki“.

„Pietrek! która godzina“?
— Druga.... Waza na stole
— Dobry rosołek z lina...
„A cóż tam po rosole“?
— Będzie pieczeń wołowa...
„Hum, hum, obiadek krótki
„Jakoś boli mię głowa
Daj mi kieliszek wódki“.

„Pietrek! która godzina“?
— Blizko już szósta Panie.

kowitym bądź częściowym, dotyczącym zboczeń umysłowych różnych kategoryj i różnych stopni. Najdziwaczniejszemi z pomiędzy tych zboczeń są częściowe, gdzie zestawiane bywają najsprzeczniejsze właściwości umysłu, jak np. genjalność matematyka z przesądami prostaczka, wiedza obszerna z wiarą naiwną, czułostkowość rodzinna z tyranją plemienną, dewocja kościelna z uczuciami jędzy w domu.

Następnie alkoholizm bywa przyczyną przeważną samobójstw, a najczęściej alkohol jest towarzyszem przedśmiertnym samobójcy.

Alkoholicy mają stałą dążność z jednej strony do służalstwa niewolniczego, z drugiej strony do despotyzmu tyranów. Na polu tych sprzeczności krańcowych napotykamy różne kombinacje, tak np. widzimy największych tyranów, rządzonych przez lada babski pantofel.

W dalszym ciągu możemy wymienić jako cechę właściwą alkoholikom opór przeciwko rozkazom prawa i przyzwoitości. Pijący stają się niemoralni, nie umieją uszanować cudzej własności; odnośnie do tej ostatnio wymienionej właściwości alkoholików, można śmiało powiedzieć, że wszyscy nałogowi złodzieje są równocześnie nałogowymi pijakami. Kleptomanja jest dziedziczną chorobą w rodzinach alkoholików, a nawet proste złodziejstwo jest skutkiem alkoholizmu. U pijaków rozwija się popęd do okrucieństwa, mają oni upodobanie w znęcaniu się barbarzyńskiem nad zwierzętami i w ogóle nad istotami słabszemi od siebie, oni tracą zdolność odczuwania cierpień zwierząt i ludzi. Nawet jednorazowe użycie trunków alkoholicznych znieczula człowieka w tym kierunku. Nauczyciele, katujący swych uczniów, hakatyści i inni do nich podobni działacze są zwykle alkoholikami. Czyny wszelkie, nacechowane nienawiścią i zemstą mają swoją przyczynę w trunkach wyskokowych *), a jako inne objawy alkoholizmu uważać trzeba pieniactwo, drażliwość chorobliwą w obec obrazy osobistej, wywoływaną zwykle rozwojem manji wielkości, zarozumiałością i samolubstwem. Widzimy często ludzi, którzy najdrobniejszą rzecz uważają jako uwłaczającą ich godności osobistej, szczególniej drażliwi pod tym względem są generałowie rosyjscy; ci wściekali się ze złości, gdy przed nimi który z gimnazjastów czapki nie zdjął. Parę przykładów działalności alkoholu przytoczę tutaj.

Znałem na Syberji kapitana piechoty Krymskiego, który miał przed laty, gdym bawił w Czycie,

— Z panem sędzią sędzina
— Jadą.... niechaj Pan wstanie!
„Jadą! biegaj, proś siedzieć...
Ach! poczciwy Franciszek,
Przyjechał mnie odwiedzić,
Daj mi wódki kieliszek“.

„Pietrek! która godzina“?
— Po dziewiątej już Panie:
— Niedomaga sędzina
— Nocować tu zostanie...
„A jaka tam kolacja“?
— Będzie potrawka z główki...
„Panie sędzio jest racja
Wypić cynamonówki“!

„Pietrek! która godzina“?
— Po północy już Panie.
„Czy śpi pani sędzina“?
— Ej śpi dawno mospanie
— I nam spocząć już pora.
„Ale panie Franciszku,
Kanonika to hora.
Jeszcze choć po kieliszku“.

„Pietrek! która godzina“?
— Pierwsza, czyż Pan nie widzi?
„A śpi pani sędzina“?
— Śpi... niech Pan też spać idzie.
„Idę, trafię bez kija,
Ale tak do poduszki,
Pietrek, Ave Maria!
Wytnę jeszcze staruszki
Gratiae plena Maria!
Jeszcze raz do poduszki“!

*) W czasopiśmie warszawskiem „Prawda“ opisano typ złośliwego manjactwa pod nazwą „Osobny Typ“. Jest to wzór ciekawy, trafia się on jednak dosyć często w niniejszej dobie, ale najwyraźniej występuje na polu prawniczem w postaci prokuratorów. Oto jak kreśli „Prawda“ osobistości takie.

Pomimo, że psychologja podała już tyle typów złośliwego manjactwa, nie wyróżniła między nimi jednego, który niewątpliwie przedstawia osobną postać. Jest to typ prześladującego z urodzenia. Gazety niemieckie opowiadają następujący fakt. Władza administracyjna w Poznaniu zawiadomiła kupca Kurczewskiego, że on właściwie nazywa się Kurtze i odtąd powinien używać tej nazwy. Ponieważ ten jednak oparł się nakazowi, gdyż jego ojciec nosił już miano Kurczewskiego, prokurator wniósł przeciwko niemu skargę do sądu ławniczego. Skoro tu zapadł wyrok uniewinniający, prokurator odwołał się do wyższej instancji (Strafkammer), ale znowu sprawę przegrał. Wówczas zaapelował jeszcze wyżej (do Kammergerichtu), ale i tu go odprawiono z niczem. Wypadek bardzo charakterystyczny i dający się wytłómaczyć tylko nienawiścią instynktową (mojem zdaniem tylko alkoholizmem). Bo jakże inaczej zrozumieć zajadłość człowieka, rzekomo ukształconego, które przez trzy sądy wlecze skromnego, niewinnego kupca i we wszystkich doznaje porażki, a czyni to jedynie w celu, ażeby Kurczewskiego zmusić do nazywania się Kurtzem! Jakaż tu może być tak silna pobudka, ażeby natchnąć mogła człowieka do takiej zaciętości? — (Ja na to pytanie odpowiedzieć mogę, że tylko manja alkoholiczna zaciętości i zemsty może dokonać podobnych czynów. Szczedryn nazywa tę manję popędem „Sagnut' w baranij rog“. Ileż to działaczy w zabranym kraju postępuje podobnie, a w krajach konstytucyjnych

wyznaczony sobie obowiązek być obecnym przy wymiarze kary, dekretowanej przez sąd wojenny na dezerterach z bataljonu, tak zwanych „rekrutów Siwakowskich“. Otóż Krymski nie mógł na trzeźwo assystować przy takiej egzekucji, pomimo długiej swojej praktyki w zawodzie kata; zjawiał się więc zawsze tam na wpółpijany i wtedy dopiero był mocen stać się widzem obojętnym chłosty barbarzyńskiej i nawet zachęcał, wedle przyjętego zwyczaju, siepaczów równie jak i on sam nietrzeźwych, do silniejszego smagania. Wołania jego „wali“ „pakrepcze“ zagłuszały jęki i krzyki katowanych, zaś jego uczucia ludzkie zagłuszał alkohol.

Pamiętna mi jest dotąd, choć znana tylko z opowieści kolegów, barbarzyńska scena katowania młodzieży gimnazjalnej w Mińsku, za rzekomy „spisek“, uknuty podczas kampanji węgierskiej i za wiersz rossyjski u nich znaleziony.*) Sądzono wtedy pewną ilość gimnazjastów klas wyższych na chłostę na kilkaset rózeg każdego, od 200 do 500., i kazano wszystkim uczniom być obecnymi przy egzekucji. Malce, z tak zwanego „pensjonu szlacheckiego“ (Błagorodnyj pansion), dowiedziawszy się o tem postanowieniu, zaczęli płakać na samą myśl, że będą musieli patrzeć na barbarzyństwo moskiewskie i postanowili nie iść wcale na korytarz, gdzie się miała odbywać chłosta, wykonywana przez żandarmów w obec całej komissyi śledczej, z kuratorem okręgu naukowego, B a t i u s z k o w y m na czele, w obec gubernatora Siemionowa, kuratora gimnazjum, nauczycieli i wszystkich wyższych urzędników państwowych, przybranych w mundury paradne.

(C d. n.) *Dr. Benedykt Dybowski.*

---

na manję taką chorują przeważnie prokuratorowie, im się chce zwykle „sagnut' w baranij rog“, np. redaktorów nielubianych czasopism). Kto wie, czy w zbiorowych fotografjach okazów zwyrodnienia nie znajdą się kiedyś portrety takich bohaterów. Należy się im uwaga psychiatrji i osobna kategorja w jej grupach. (Jabym sądził, że tych nieszczęśliwych ludzi zaliczyć powinniśmy do tej samej kategorji co i „atwodczyka płaszczadiej“ na Syberji, zarzynającego dla przyjemności koguty; jak temu ostatniemu, tak i innym wspomnianym brak serca, gdyż je zniszczył alkohol). W istocie trudno znaleźć straszliwszego wroga dla wszystkich szlachetniejszych uczuć ludzkich, jak trunki wyskokowe. Do potęgi najwyższej posunięta ambicja, pycha, zarozumiałość, manja wielkości, szowinizm, fanatyzm uczucia zemsty, namiętna złośliwość, przyjemność widoku cierpień ludzkich i zwierzęcych, oto są kwiatki wypielęgnowane na niwie alkoholizmu powszechnego.

*) Całości tego utworu poetycznego dzisiaj już niestety nie przypominam sobie, pozostała mi w pamięci tylko strofa końcowa. Treść zaś poematu była taka: Poeta przedstawia w jędrnych wyrazach i w silnych porównaniach chwilę przebudzenia się duszy europejczyka z letargu, w jaki ją wtrącił stan reakcji po porażce Napoleona i kongresie wiedeńskim. Stawia następnie przed oczy ziomków swoich czyny bohaterskie ludów, pragnących swobody, sprawiedliwości, oświaty i kończy rozpaczliwym wykrzyknikiem następującym:

„Wy spitie russkie narody!
Wam nieizwiestna czesti klicz
Nie wam skaty iskat' swabody!
Was nada bit', siecz i strycz!

Wiersz ten, znaleziony u gimnazjastów, podejrzewanych o uczestnictwo w tajnem towarzystwie, oburzył i do wściekłości doprowadził komisję śledczą, tem więcej była ona rozgoryczoną, że relacje, nadsyłane do kuratorjum w Wilnie, świadczyć miały o arcylojalnem usposobieniu młodzieży mińskiej, przesłano nawet odę, napisaną przez jednego z gimnazjastów, na temat zadany przez nauczyciela „russkoj sławiestnosti“. Oda rzeczona tak się miała podobać generał-gubernatorowi B i b i k o w' o w i, że ją pono kazał wydrukować w Wilnie, a w nagrodę lojalności uczniów nadesłano do rozdania medale pamiątkowe z nadpisem: „Pokarajties Jazycy, ibo s nami Boh“

Początek ody, o której mowa brzmiał jak następuje:

„Lisz tolko w Rassyi małwa razniesłaś
Czto dierskije Wengry wozstali,
Protiwu jedinstwa i wiery stremiaś
I k obszczej narodnoj pieczali.

Dalszy ciąg tej ody maluje oburzenie słuszne panującego na „dierzość“ niesłychaną Węgrów; postanawia on tedy zmiażdżyć hydrę nieprawości, uosobioną w tym „przewrotnym, niemoralnym i heretyckim narodzie“, wysyła legiony bohaterskie, idące na bój krwawy z okrzykiem „Car i Boh“; proroczy następnie zwycięstwo świetne; widzi radość, zachwyt całej Europy, która składa hołd dziękczynny i poddańczy u stóp monarchy, mającego jedynie na pieczy szczęście ludzkości. W ekstazie poetyckiej, widzi autor nareszcie otwarte niebiosa, spostrzega Boga prawosławnego, siedzącego na tronie w całym przepychu i majestacie swej władzy, otoczonego ministrami świętymi i podającego wieniec laurowy zwycięzcy „zła na ziemi“ z wyrazami „sławien, sławien, sławien. Własticlin wsiech „Sławian“.

Niestety apoteoza kompanji węgierskiej znalazła krwawy epilog w zwierzęcej kaźni gimnazjastów mińskich. Wprędce potem nastąpiło porznięcie portretu cara Mikołaja w „pensjonacie szlacheckim“ więc nowe komisje śledcze, nowe tortury i „zsyłki“. W ostatnim wypadku, gdy nie znaleziono winnych, B a t i u s z k o w ułatwił sobie zadanie w ten sposób, że kazał każdemu z uczniów pisać trzy nazwiska kolegów, których mógłby a zarazem i powinien byłby posądzić o czyn porznięcia portretu. Niechcących pisać i utrzymujących, że nie mają podejrzenia na nikogo, kazał zapisać jako winnych „bo jeżeli nie mają podejrzenia“ powiadał „więc sami to zrobili“. Po dokończeniu śledztwa, skazano tych mianowicie, którzy mieli najwięcej głosów za sobą. Sądzono tedy Konrada Leńkiewicza w sołdaty na Kaukaz, Palczewskiego Jana na zesłanie ect., a gimnazjum w Mińsku wpisane zostało do kategorji zakładów „niebłagonadieżnych“.

Z pism i książek.

Styl zakopiański. — Dr. Stanisław Eljasz Radzikowski — wydanie drugie. Nakładem Tow. wydawniczego. Lwów 1901.

Dr. Stanisław Eljasz Radzikowski należy do najgorliwszych agitatorów w służbie stylu polsko-zakopiańskiego.

Pełen zapału wygłasza odczyty i wydaje prace w rodzaju wyżej wymienionej.

W pracy tej obok szczegółów z dziejów stosunku społeczeństwa polskiego do Tatr i do górali zakopiańskich, bardzo ciekawych i charakterystycznych, znajdziemy wiele o rozprzestrzenieniu się i rosnącej stopniowo popularności stylu polsko-podhalańskiego przy współudziale głównym w tej sprawie malarza Witkiewicza, dalszym Mączyńskiego i innych architektów.

Dołączone są do części dziełka, pysznie odtworzone z fotografji, illustracje will i domów w Zakopanem.

Jest mowa o ołtarzach i o kaplicy w kościele zakopiańskim, gdzie zastosowano styl ów, mniejsza o to czy w udatnej zresztą postaci.

Okazane są też ze statków, (domowych czerpaków) wzięte wzory filiżanki na kawę czarną i cukiernicy srebrnej.

Są koronki w tymże stylu wykonane podług rysunku Witkiewicza przez p. Staszlową.

Po obrazach sprzętów i przedmiotów z chaty góralskiej, widnieją dwie illustracje, jedna domu drewnianego podsieniowego w Czeladzi w Królestwie, druga bramy wjazdowej do zagrody w Bytomiu, pełna kołkowania, właściwego czysto drzewnemu składowi.

Ustęp dotyczący tych obrazków niestety zdradza, że autor mimo całego zamiłowania dla przedmiotu, o „polskim stylu“ na dołach mniej wyraźne ma wyobrażenie.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że pomiędzy stylem ludu podhalańskiego, a sposobem „kładzby chaty drewnianej“ i jej zdobienia w całej Polsce istnieje ścisły związek.

Pokrewieństwo przechodzi w dalszym stopniu na kościoły, dzwonnice i bożnice drewniane stare i rozciąga się na dawne domy podsieniowe w miastach i miasteczkach.

Sosręby z gwiazdą w pośrodku znajdowano w starych domach na Kazimierzu w Krakowie i we Lwowie.

Pokrewieństwa tego nie zdołał zatrzeć większy wpływ na dołach stylów, z zachodu idących, gotyku, renesansu i baroku, a owszem silniejszym węzłem związał Podhale z resztą Polski, niż to same Podhale z Hucułszczyzną naszą.

Panowie, którym leżała na sercu troska o styl zakopiański, zamiast ławą ruszyć na zbadanie wciąż topniejących resztek starego budownictwa po miasteczkach, wsiach, zaczęli fantazjami wypełniać luki w motywach, których przecie jedna wieś nastarczyć dla wszystkich nie mogła.

W sprawach bowiem, gdzie chodzi o odrodzenie narodowej kultury, na nic się zda „oryginalność i pomysłowość“, jeśli przedtem cały nasz materjał kopalny niejako nie zostanie na światło dzienne wydobyty.

Talowskiego pomysłowość i oryginalność naprzykład polega na specjalnem zastosowaniu pewnych właściwości kamienno-ceglanego stylu z epoki przejściowej pomiędzy gotykiem a renesansem w Krakowie — któremi napoiła się w młodości dusza artysty.

Trzeba się uderzyć w piersi i powiedzieć sobie że znowu cała „pomysłowość i oryginalność“ nie potrafiła nawet w projektach Witkiewicza zastąpić pewnych braków, jakich pokryć motywami swemi nie mogła bodaj taka wieś jak Zakopane wraz z okolicą.

I cała wyższość Witkiewicza nad panami architektami polega na tem, że kiedy Witkiewicz nie znając Czeszczyzny ani Słowacczyzny oryginalnie radę sobie z niemi dawał, to architekci dopożyczali sobie motywów ze wszystkich stron, aby wnętrza i rozmaite kawałki, nigdy na wsi nie używane komponować.

Często nieszczęsny łyżnik musiał dawać swoimi wycinaniami materjał do niespokojnych wydłubywań w przedmiotach, które ani przeznaczeniem, ani formą żadnego związku z łyżnikiem nie miały.

Kiedy więc wnętrze rzeczywistej chaty góralskiej jest spokojne, a miejsca zdobione, są rozmieszczone należycie, to te „wnętrza“ wystawiane we Lwowie i kawałki ze „sposobu zakopiańskiego“ są ruchliwe, zasypane szczegółami i szczególikami, a wreszcie w całości niewiele wspólnego z narodową sztuką mające.

Ma rację zupełną pan Radzikowski jeśli nazywa to „rozmyślnem“ fałszowaniem narodowych form.

Trzeba więc w interesie stylu drewnianego polskiego wyjść za Zakopane, trzeba zajrzeć na Spiż i ruszyć Karpatami aż do Pokucia i drugą stroną na Śląsk.

Wieleż to jeszcze kościołów i dzwonnic drewnianych starych w całej Polsce i na Litwie nie zdjętych, wieleż to motywów tkwi prawie w każdej wiosce, w każdym kościółku starym lub cerkiewce nawet.

Piszącemu te słowa w jego wycieczkach inwentaryzacyjnych, prawie w każdej miejscowości zwiedzanej udawało się znaleźć przedmiot, co swoją zdobniczością przysparzał cegiełkę drobną do gmachu rzeczywistej sztuki narodowej. A mamy prócz ludowo-drewnianego budownictwa, polski gotyk, nawskróś polski wprost prześliczny renesans i wspaniały barok. Architekci późniejsi pływać będą mogli w motywach, jeśli tylko liczne zabytki zostaną zapisane i wyrysowane i co najważniejsze wydane.

Szkoda wielka że agitacyjna praca pana Dr. Stanisława Eljasza Radzikowskiego, nie zakończyła się gorącem wezwaniem do czytelników, aby bodaj materjały odnoszące się do sztuki ludowej rysowali i, co przecież w dzisiejszych czasach jest bardzo łatwe, fotografowali.

Pismo poświęcone sztuce ludowej, gdzieby rysunki i reprodukcje fotograficznych zdjęć publikowano i omawiano, tudzież muzeum poświęcone zbieraniu rysowanych i fotografowanych dokumentów — to są rzeczy zbożne i dla dalszego rozwoju sztuki polsko-ludowej (budownictwa drewnianego) wprost nieodzowne.

Rzucam myśl, może ją też pan Dr. Stanisław Radzikowski podnieść raczy, może ona znajdzie gdziekolwiek chętnych słuchaczy.

Architekt Kazimierz Mokłowski.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5